

Kabaretowe perty

Po czterogodzinnym holdzie, złożonym sztuce w ubiegłym tygodniu na premierze „Fausta”, postanowiłem rozerwać się i dać także chwilę wytchnienia Czytelnikom. Teatr nie musi przecież roztrząsać wyłącznie spraw ostatecznych. Powinien od czasu do czasu bawić publiczność i to bawić dobrze: ambitnie (ale bez przesady, aby nie zanudzić), bez schlebienia rozpowszechnionym dziś — głównie dzięki telewizyjnej tandecie — kiepskim gustom oraz bez szarżowania w celu wymuszenia śmiechu i oklasków.

Wszystkie te warunki spełniają „Perły kabaretu Mariana Hemara”, wystawione przez Teatr Ludowy na Scenie „Pod Ratuszem”. Spektakl przygotował Janusz Szydłowski z „polskiego Londynu”, dobierając znakomitą obsadę. Idealnie „trafiona” scenografia jest dziełem Elżbiety Krywshy, choreografię opracował niestrudzony Jacek Tomasiak, a sukces muzycznej strony przedstawienia zawdzięczamy Jerzemu Kluzowiczowi. Warto wspomnieć, że muzyka rozbrzmiewa na żywo, co zdarza się dziś w polskich teatrach raczej rzadko, ponieważ pociąga za sobą spore koszty. Dyrektor Jerzy Fedorowicz postanowił jednak nie oszczędzać i chwaliła mu za to, gdyż akurat w tym przypadku podkład muzyczny z taśmy byłby zgrzytem, obniżającym wartość kabaretu.

Można oczywiście dyskutować z reżyserem (a nawet wybrzydzać), że w niespełna półtoragodzinnym spektaklu znalazły się właśnie te, nie zaś inne piosenki; każdy wybór jest jednak arbitralny. Szydłowski zrezygnował z wszelkich podtekstów politycznych (a było ich u Hemara sporo), stawiając na humor obyczajowy i sentymentalne wspomnienia poety z lat jego młodości. Ta druga warstwa przedstawienia nie przekonała mnie do końca — powiem więcej, niekiedy byłem trochę znudzony i to nie z winy aktorów.

Jeżeli ma się do dyspozycji Martę Bizoń, Ewę Kaim, Bożenę Krzyżanowską, Rafała Dżwisza i Jacka Romanowskiego (nie zapominając o prowadzącym wieczór scenarzyście i reżyserze), można zdziałać bardzo wiele w kabaretowym rzemiośle. Pragnę tu przywołać francuskie pochodzenie słowa „rzemioło”, wy-

wodzącego się z tego samego rdzenia, który dał początek pojęciu „sztuka”. Największe brawa za słuzenie zebrał najbardziej doświadczony z prezentującego kabaretowe perty Hemara zespołu — Jacek Romanowski. Pamiętam, jak po raz pierwszy występował w przedstawieniu, wymagającym odeń nie byle jakich umiejętności wokalnych. Był to reżyserski dyplom Tadeusza Bradeckiego: „Biedni ludzie” Fiodora Dostojewskiego (w 1983 r.). Wraz z Markiem Litewką śpiewali cudownie i od tej pory zawsze z przyjemnością oczekiwałem na przedstawienia z piosenkami w ich wykonaniu. Romanowski pokazał „Pod Ratuszem”, że potrafi stworzyć kompletną kreację kabaretową: słowem, śpiewem, gestem, ruchem, spojrzeniem. Wszystkie elementy pasują do siebie, nic nie jest ani przesadzone, ani niedociągnięte. Po prostu przyjemnie patrzeć i słuchać.

Wiele obiecywałem sobie po występie Marty Bizoń. Podczas lutowego koncertu jubileuszowego 70-lecia rozgłosi Polskiego Radia w Krakowie tak wykonała w Teatrze im. Słowackiego „Don't cry for me Argentina”, że sam Lucjan Kydryński powiedział: „Madonna, gdyby miała dobry dzień, może też by tak zaśpiewała — ale nie jestem pewny”. Po takim komplemente poprzeczka dla Marty Bizoń została zawieszona bardzo, ale to bardzo wysoko. I ona wcale nie zamierza jej strącać, aczkolwiek tym razem jedynie w piosence o zgubionym pierścionku wzniosła się na wyżyny swego talentu, będącego jak diament, który systematycznie poddawany jest przez nią żmudnemu procesowi szlifowania.

Pozostali artyści niech mi wybaczą, że poświęcę im jedynie kilka słów, ale za to wielkiego uznania. Wszyscy byli w świetnej formie wokalne i aktorskie, każdemu reżyser przydzielił odpowiedni dla jego emploty „popisowy numer”, wzbudzający entuzjazm wśród widzów. Trochę tylko żałuję, że Szydłowski nie chciał zaprezentować więcej dowcipnych scenek zbiorowych, które najwyraźniej podobały się publiczności o wiele bardziej, aniżeli sentymentalne piosenki.